

Wybrali grabarza

5 czerwca 2012

Jako nacjonalista i słowianofil cieszę się, że Serbowie wybrali sobie Nikolicia na prezydenta. Ale moja analiza jest smutna i pełna niepokoju.

Wisielczy humor jest serbską specjalnością narodową, co prawdopodobnie wynika z ich ponurych doświadczeń historycznych. Wybór Tomislava Nikolicia na prezydenta też można potraktować jako masowy przejaw tego humoru, jako że zaczynał on swą karierę zawodową jako zarządca cmentarza i do dziś ma ksywkę „Toma-grabarz”. Sam zresztą nadal lubi podkreślać: „Poćeo sam kao grobar i znam kako je život kratak” („Zaczynałem jako grabarz i wiem, że życie jest krótkie”).

20 maja pokonał on nieznacznie w dogrywce Borisa Tadicia, dotychczasowego prezydenta, który ostatnie osiem lat spędził na urzędzie spełniając wszystkie życzenia i pokornie włączając po palcu zachodnim mocarstwom, które w zamian czyniły wszystko, co w ich mocy, aby Serbię nadal izolować i upokarzać. Stale porównywana do hitlerowskich Niemiec, Serbia została poddana niemal norymberskiemu traktowaniu jako wylęgarnia notorycznych zbrodniarzy wojennych wydawanych pod triumfujący trybunał zwycięzców, ale w odróżnieniu od Niemiec, po przegranej wojnie nie zobaczyła miliardów z Planu Marshalla, które by pozwoliły na odbudowę zniszczonej nalotami stolicy lub choćby zwalonych mostów na Dunaju. Powojenna bieda wciąż się w Serbii pogłębia, podobnie jak poczucie goryczy i upokorzenia.

Ponad połowa elektoratu, uznając że i same wybory też są żartem, nawet się nie pofatygowała, aby pójść do urn. Nikolić obiecał zmiany, ale nie wydaje się, aby miał jakiś realistyczny plan albo środki, żeby cokolwiek przeprowadzić. Wcześniej, 6 maja, gdy w Serbii odbyły się aż trzy wybory naraz – prezydenckie (I tura), parlamentarne i samorządowe – bo to przecież taniej i prościej, przynajmniej te

parlamentarne były jawnie i masowo sfałszowane na korzyść rządzącej koalicji. Rządzącej partii Tomicia czyli DS (Demokratska stranka) dosypano wtedy przynajmniej 7% ogółu głosów. Zresztą liczba uprawnionych do głosowania była tylko o 250 000 mniejsza od liczby ludności w ogóle, co też nie świadczy dobrze o uczciwości organizatorów. Zaraz potem, jeszcze przed dogrywką prezydencką, lider „socjalistów” dogadał się „demokratami” od Tadicia, że utworzą parlamentarną koalicję ku zadowoleniu zachodnich ambasad, zwłaszcza USA. Oznacza to, że Nikolić pozostanie sam na fasadowym urzędzie, w trudnej kohabitacji z rządem opanowanym przez starą wasalną klikę Tadicia. Co do wyborców, to dostali oni przynajmniej szansę powiedzenia NIE Tadiciowi dla rozładowania napięć i frustracji. Wykorzystanie tej szansy tworzy marginalną iluzję samostanowienia i wolności.

Dla mediów i polityków zachodnich rola Serbii jest prosta: ma ona służyć jako odstrasżający przykład upartego i zacofanego „nacionalizmu”, na tle którego jaśnieje pełnym blaskiem cnotliwy internacjonalizm Unii Europejskiej i pokojowy charakter dobrotliwego paktu NATO. W epoce, gdy w krajach UE jakakolwiek uwaga krytyczna pod adresem jakiejś grupy etnicznej, rasowej lub religijnej, a zwłaszcza jednej, o której wszyscy wiedzą, może prowadzić do sprawy sądowej z oskarżenia o podżeganie do nienawiści rasowej, na Serbów można wygadywać wszystko i można sobie używać na nich do woli w kawałach, karykaturach, programach TV i w porównaniach publicznych. Ostatnio uczynił to np. Gert Fylking, znany prezenter radiowy w Szwecji, który oświadczył, że „Serbowie są gorsi niż Breivik”, a także nazwał ich „opóźnionymi w rozwoju psychopatami i świniami”, którzy nadal ukrywają zbrodniarzy wojennych i nie rozumieją potrzeby wydawania ich pod międzynarodowe trybunały tzw. sprawiedliwości. Mimo protestu ambasady serbskiej Fylking nadal prowadzi swój program, a nawet uzyskał poparcie szwedzkiej organizacji obrońców praw człowieka i wielu osób publicznych. Najcenniejszym eksportem Belgradu są bowiem ciągłe dostawy „serbskich zbrodniarzy

wojennych” do trybunału ICTY w Hadze, aby karmić nimi samozadowolenie Zachodu z przestrzegania i obrony wartości humanitarnych.

W tym kontekście najlepszy prezent jaki Serbowie mogli zrobić swym zachodnim prześladowcom, to właśnie wybrać na prezydenta „skrajnego nacjonalistę” Nikolicia. No, może raczej „byłego skrajnego ultranacjonalistę”. Tak, czy inaczej, wyborcza klęska potulnego wazeliniaarza jakim był Tadić, była do tego stopnia szokiem dla Zachodu, że komentator brytyjskiego Guardianu Ian Traynor napisał: „Serbskie nadzieje na szybką ścieżkę integracyjną z Europą doznały poważnego uszczerbku”.

Ta „szybka ścieżka” to następny gorzki żart. Po ośmiu latach oślizłych umizgów Tadicia do Brukseli, dopiero kilka tygodni temu rzucono mu stamtąd ochłapek obiecując, że Serbia zostanie „oficjalnym kandydatem” do wejścia do UE. Kiedy? Ano, dopiero wtedy, gdy przeprowadzi do końca listę wymaganych reform, a przede wszystkim kiedy Belgrad uzna „niepodległość” Kosowa, historycznej kolebki serbskiego narodu, skradzionej mu po nalotach NATO w roku 1999 i przekazanej albańskiej mafii przez jej mocodawców i protektorów z Waszyngtonu.

Akurat tego jednakże żaden serbski rząd zrobić nie śmie i mam nadzieję, że nigdy nie uczyni, a przynajmniej nie oficjalnie. Podobnie jak przedtem Tadić, tak i teraz Nikolić obiecał swoim rodakom dążyć w dwu przeciwnych kierunkach: do członkostwa w Unii i do odzyskania Kosowa dla Serbii, a więc i słusznie odmówił uznania, że istnieje tam jakieś „niezależne państwo”. Te dwa deklarowane cele wzajemnie się wykluczają.

Wybór Nikolicia prawdopodobnie wskazuje na to, że entuzjazm dla członkostwa w UE wśród Serbów słabnie. To byłoby zrozumiałe zważywszy na obecne konwulsje w strefie euro i rosnące zamieszanie. Jednakże Serbia jest w rozpaczliwym położeniu gospodarczym, a człowiek który się topi, chwytą się nawet krawędzi łodzi, która przez dziurawe dno też nabiera wody.

Od czasu przegranej wojny w 1999 roku Serbia jest krajem na wpół okupowanym, otoczonym i trzymanym krótko przez zwycięskie wojsko NATO. Politycy serbscy muszą posłusznie meldować się i opowiadać w ambasadach zachodnich okupantów i kokietować ich media. Wielu musiało odbyć staże szkoleniowe i złożyć hołdownicze wizyty w USA. Nikolić jest jak na razie wyjątkiem, ale wszystko wskazuje na to, że już wymięka. Już zwrócił się do ambasadora USA Williama Montgomery'ego, ze znamionną prośbą o poradę, co ma zrobić, aby sobie poprawić swój wizerunek na Zachodzie. Teraz pokornie czeka na odpowiedź, czyli na receptę z Departamentu Stanu. Jako napiętnowany „skrajny eks-nacjonalista” zostanie także prawdopodobnie wezwany przez strażników bram UE, aby zrobił jeszcze więcej niż Tomić – o ile to w ogóle możliwe – by udowodnić swoje nawrócenie się na „wartości zachodnie”. Na początek zaskoczył wszystkich stwierdzeniem, że chciałby się najpierw spotkać z Angelą Merkel, którą nazwał swym „najlepszym sojusznikiem w Europie”. Jest to chyba już zbyt daleko posunięte i głęboko nieszczerze lizodupstwo, jeśli się zważy to, co wie przecież każde serbskie dziecko: że Niemcy i Austria – najgorsi po Turkach historyczni wrogowie Serbów (Sarajevo 1914) – byli pierwszymi, którzy popychali do rozpadu Jugosławii, secesji Słowenii i Chorwacji i antyserbskiej vendetty wszędzie tam, gdzie się tylko dało. Ostatnio zresztą Nikolić zmodyfikował również swą wcześniejszą wyborczą obietnicę, że będzie szukał bliskich relacji z Rosją i zamienił ją na miłą sugestię, że Serbia musi mieć przyjaciół na całym świecie.

Nie wydaje się zatem, aby ten „były skrajny nacjonalista”, który odszedł z Serbskiej Partii Radykalnej (Vojislava Seszelja) i utworzył własną Partię Postępową, mógł ze swego nowego stanowiska skutecznie bronić Serbów przed ich okupantami. Jest to prawdopodobnie w ogóle mało możliwe, a przypadek szybko grzęznącego w wazelinie Nikolicia dowodzi, że udział we władzy zniewala i że o wiele łatwiej jest zachować niezależność będąc poza jej kręgiem, bo wtedy nie ma tylu nacisków i nie ma stawki.

Autor: Bogusław Jeznach

Zdjęcie: [City image](#)

Źródło: [Nowy Ekran](#)